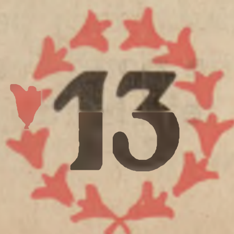
DZWONKI

PISMO DLA DZIECI NIŻSZYCH
KLAS SZKÓŁ POWSZECHNYCH



Dzisiaj tłusty czwartek,
powiedział nam Bartek,
a matula uwierzyła
i nam pączków nawarzyła!

WARSZAWA
ROK 1



1 MARCA
1938



STUK, PUK!

— Kto to tak stuka? Ach, to pan, panie dzięciołku! Cieszę się, że pana widzę. Pan mi jest bardzo potrzebny.

— A na co, moja pani, a na co?

— Bo moje drzewo usycha.

— To pani ma swoje drzewo?

— Moje, czy nie moje, ale w nim mam dziuplę. A w dziupli mam zapasy. Co się stanie, jeżeli mi to drzewo uschnie? Ratuj moje drzewo, panie dzięciołku kochany!

— Zaraz, zaraz, moja pani. Zaraz, zaraz! Tylko tu sobie jeszcze popukam!

— Chodź od razu, mój panie dzięciołku kochany! Jeżeli ty nie pomożesz, to już nikt drzewa nie wyleczy z tej choroby.

— A czy źle wygląda? Czy się skarży?

— Źle, bardzo źle! Jedna gałąź zupełnie uschła. Skarży się, bardzo się skarży, aż całe skrzypi, gdy wiatr wieje.

— Już idę, moja pani wiewiórko, już idę. Popukam, postukam, robaczków poszukam. A które to drzewo?

— O to, to! Tędy niech pan idzie, tu niech pan postuka, pod dziuplą.

— Stuku, puku, — oj, już wiem! Tu jest robak, wnet go zjem!

—Dobrego apetytu, panie dzięciołku, dobrego apetytu! Jak to dobrze, że w lesie są dzięcioły!

— Pewnie, moja pani, pewnie...

— A jak pan będzie chciał się przespać po obiedzie, panie dzięciołku kochany, to proszę do mojej norki. I fraczek panu zaszyję, bo się panu rozdarł o sęk. *M. N.*



NA SANECZKACH

Padał śnieżek przez dni wiele,
biały cały świat,
a więc w parku na saneczkach
jeździć każdy rad.

Tak się dzisiaj z ubieraniem
śpieszy mały Ryś,
i już idzie na spacerek,
a z nim razem miś.

Jadą z górki na pazurki,
czasem w śnieżek — buch!
misio piszczy aż z uciechy,
taki z niego zuch.

H. W. K.

PAN BAŁWAŃSKI

— Wujek Kazio przyszedł! — zakrzyknął Romek.

— Hurra! — wrzasnął radośnie Władek.

Danusia rzuciła się gościowi na szyję, a mała Marysia zaczęła klaskać w rączki. Przepadali za nim! Wujek Kazio był bardzo wesoły i pisywał wiersze.

Tym razem przyszedł ze świetnym pomysłem:

— Chodźmy do ogrodu, zrobimy bałwana ze śniegu.

Dzieciom w to graj! Powdziewali wszyscy płaszczyki i wypadli na dwór.

Najpierw zrobili ze śniegu grube jak słupy nogi, potem pękaty tułów. Ręce przylepili do postaci, a potem utoczyli dużą kulę ze śniegu, z wielkim mozołem wydźwignęli ją w górę i umieścili na ramionach olbrzyma.

— Gotów! — odsapnął wujek. — Ale trzeba go jeszcze upiększyć!

Przylepił bałwanowi nos kształtu ogórka, wsadził dwa węgle zamiast oczu, łupiny z ziemniaka zamiast brwi, a kawałek buraka zamiast warg.

Marysia zaczęła wołać:

— Fajećtę mu dać!

Więc włożyli mu w usta fajkę z patyka. Na głowę wsadzili mu stary kapelusz, wsunęli gęsie pióro za wstążkę, w jedną rękę wetknęli laskę, a w drugą miotłę. Wreszcie Danusia zawiązała mu zielony krawat. Jeszcze guziki... Ach, bedą śliczne z kasztanów uzbieranych na jesieni!

Teraz wujek uroczyście przemówił:

— Mam zaszczyt przedstawić wam wielce szanownego pana Bałwańskiego.

— Pan Bałwański! Pan Bałwański! — wołały dzieci rozbawione, a Marysia powtarzała klaszcząc w małe łapki:

— Pan... wański!

Stał sobie w ogródku pan Bałwański i uśmiechał się. Dzieci przechodząc kłaniały mu się grzecznie i mówiły:

— Dzień dobry, panie Bałwański!

Lecz przyszła odwilż. Pan Bałwański posmutniał. Malał w oczach, kapelusz mu się przekrzywił, fajka ledwo się trzymała.

Pewnego dnia przyszedł znów wujek i rzekł z miną tajemniczą:

— Coś wam powiem, ale przyrzeknijcie mi, że nie powtórzycie nikomu!

Obiecali, więc zaczął uroczyście:

— Miałem wczoraj dziwnego gościa. Był u mnie pan Bałwański.

— Pan Bałwański?!

— On sam! Siedziałem w domu o szarej godzinie i układałem wiersz o nadchodzącej wiośnie, gdy ktoś zastukał w szybę. Spojrzałem w okno i ujrzałem pana Bałwańskiego. Otworzyłem mu. Wtoczył się niezdarnie do pokoju podpierając się laską.



— Przyszedłem pożegnać się z panem — przemówił słabym głosem — bo czuję, że już wkrótce rozpłynę się zupełnie.

Zrobiłem współczującą minę, a on mówił dalej:

— Chciałem też poprosić, żeby pan pozdrowił ode mnie siostrzeńców. To bardzo miłe dzieci... Witały się ze mną zawsze tak grzecznie! Przykro mi szczerze rozstawać się z nimi.

Tu z węglowych oczu spłynęły mu łzy.

— To dlatego — wtrącił przejęty Władek — miał dziś czarne smugi pod oczami!

— Chcąc go pocieszyć — ciągnął wujek dalej — powiedziałem: „Nie płacz, panie Bałwański! Na przyszły rok zrobimy cię na nowo”. Uśmiechnął się do mnie: „Och, jakby to było dobrze! No, ale muszę już iść. U pana pali się w piecu, a mnie to szkodzi”. Ukłonił mi się niezgrabnie i poszedł.



Przed pójściem spać dzieci uchyliły firanek, żeby na pana Bałwańskiego raz jeszcze spojrzeć.

Stał zgarbiony w świetle księżyca.

— Do widzenia na przyszłą zimę! — zawołały. — Może pan na nas liczyć!

Na to on kiwnął im głową i uśmiechnął się, a może im się tylko tak zdawało?

Nazajutrz z pana Bałwańskiego został tylko brudny stożek mokrego śniegu, uwieńczony na szczycie gęsim piórkiem. Kapelusz spłynął po pochyłości i leżał w kałuży razem z laską i postrzępioną miotłą.

ANNA WAJDOWA

PODKOZIOŁEK

Franuś bardzo lubił chodzić do babci. Babcia wychowała się na wsi i umiała tyle ciekawych rzeczy opowiedzieć o tamtejszym życiu.

— Babciu — pytał — a jak to było w babcinej wiosce w zapusty?

— Chcesz posłuchać? To ci opowiem o podkoziołku.

— E, kiedy ja nie proszę o bajkę o koziołku...

— To wcale nie będzie bajka! Podkoziołek, to nazwa zabawy ludowej w Wielkopolsce. Odbywała się ta zabawa w ostatni wtorek karnawału. Po południu wszyscy, i młodzi, i starzy, zbierali się w dużej izbie zamożnego gospodarza, aby się ostatni raz zabawić przed Wielkim Postem. Zapraszano oczywiście muzykantów. Kto chciał zatańczyć, ten składał dla muzyki pieniądze na talerz, pod koziołka.

— Pod jakiego koziołka?

— A no, parobcy strugali z ziemniaka albo z drewna kukłę taką, stawiali ją na talerzu i pod nią składano pieniądze. Ale płaciły za tę muzykę tylko panny.

— Jak to? Panny płaciły za kawalerów? — zdziwił się Franuś.

— A tak, bo im się chciały w ten dzień wywdzięczyć za to, że oni fundowali przez całe zapusty. Potem tańczono różne ładne tańce: chodzonego, wielkiego ojca, mietlarza, kominiarza, na odsibkę, ksóbkę... Śpiewano przy tym wesołe piosenki. W mojej wiosce tak śpiewano:

Trzebaby nam podkoziołka, trzeba dać,
dobrze było cały roczek ubodać!

Ubodać, to znaczy dobijać w tańcu. Tak się bawiono, ale tylko do północy.

— Bo potem zaczynał się post, prawda, babuniu?

— A tak! Muzyka milkła na długi czas. Na drugi dzień był już popielec...

ST. STRUGAREK.



W DZIEŃ MATKI BOSKIEJ GROMNICZNEJ

(Ciąg dalszy)

Zejść ze śliskiego pagórka było jeszcze trudniej, niż wejść na niego. A i ciemno już było bardzo. Zmartwiony i wystraszony chłopak zaczął odmawiać litanię do Matki Boskiej.

Wiatr coraz mocniej huczał. Siekł ostrymi igiełkami mrozu twarz i oczy Jasia. Od strony lasu zaczęło odzywać się przeciągłe wycie.

— To wilki! Panno Najświętsza, wilki! — zawołał przerażony Jasiek i nie zważając już na pagórki śnieżne i doły zaczął pędzić na oślep przed siebie. Zaciskał w ręku gromnicę i odmawiał głośno litanię:

Uzdrowienie chorych, módl się za nami...
Ucieczko grzesznych, módl się za nami...
Pocieszycielko strapionych...

Wtem potknął się i stoczył z góry do rowu.

— Panno Najświętsza, ratuj! — zdołał jeszcze zawołać i ogarnęła go cisza. Nie czuł już zmęczenia ni strachu...

Zdawało mu się, że słyszy jakieś ciche dzwonienie, jakieś głosy czy śpiewy anielskie. Że go czyjeś niewidzialne ręce unoszą lekko coraz wyżej i wyżej... Aż w końcu dostrzegł wyraźnie postać Bogarodzicy. Uśmiechając się łagodnie, owijała go błękitnym płaszczem i mówiła cicho:

— Nie bój się, nieboże, nie bój, pod Moją opieką jesteś.

Chłopiec uspokojony już zupełnie uśmiechał się błogo! A tajemnicza moc unosiła go wysoko, wysoko...

Gdy Tomaszowie wrócili do domu, zdziwiło ich, że w chacie nie ma światła i z komina się dym nie kurzy.

Weszła matula do chaty.

— Jaśku, Jaśku! — zawołała i zaczęła wyjmować z węzełka kupione w miasteczku dla syna obwarzanki.

Ale Jasiek się nie zjawiał. Zmartwieni rodzice wołali i szukali daremnie, aż wreszcie wyszli przed chatę, aby wyjrzeć na drogę. Może stamtąd nadbiegnie ich chłopak?

Wtem do ich uszu doleciało dzwonienie i parskanie koni.

— Dyć to sanie! — zawołała Tomaszowa.

— O tak — odrzekł Tomasz — widzę, to ksiądz proboszcz jadą!

Sanie skręciły niespodzianie i zatrzymały się przed chatą.

— O rety! W taką zadymkę! — zawołali Tomaszowie.

— Jak trzeba jechać do chorego, to i w zadymkę się jedzie — odparł wesoło ksiądz proboszcz.

— Jegomości Pan Bóg nam chyba zesłał — zawołała Tomaszowa. — Takie dziś u nas zmartwienie! Chłopak nam się gdzieś zapodział.

— Chłopak? Jaki chłopak? — spytał ksiądz z lekkim uśmiechem.

— A toż jednego tylko mamy, jegomościuniu, Jaśka, a i ten nam gdzieś przepadł!

Wtem wyskoczyło coś niespodzianie zza pleców księdza i przypadło do nóg Tomaszowej.

— Matulu... tatulu...

— Jasiek! — krzyknęli radośnie rodzice.

— A Jasiek! — powtórzył wesoło ksiądz proboszcz.— Chodźmy do chaty, to wam opowiem, skąd się wziął u mnie.



I poczciwy staruszek usiadłszy przy stole na ławie zaczął opowiadać:

— Wracam ja z moim Walentym od chorego, konie, brną w śniegu po pas, a wreszcie stają i nie chcą iść dalej. Wołam Walentego, aby śnieg trochę odgarnął i konie wyprowadził. Idzie mu to niesporo, więc sam złażę z sań. Patrzę, a tu coś czerni się w rowie. Nadbiegł Walenty z latarką i woła: — To chłopak jakiś! — O mój Boże — myślę — pewnie zmarzł nieborak! Wciągamy go do sań, rozcieramy śniegiem, a on uśmiecha się słodko, w rękach ściska gromnicę i coś o Panience Najświętszej szepce. Zabrałem go na plebanię, ogrzałem i nakarmiłem. Gdy przyszedł do przytomności, opowiedział, kim jest i jak to wybrał się do kapliczki, aby się pomodlić do Bogarodzicy. Wzywał Matki Boskiej i Ona to mnie zawiodła od chorego tą drogą, a nie inną. No i zobaczyłem chłopaka w rowie...

— Z serca dziękujemy jegomości — zawołała ze łzami Tomaszowa — żeście nam synka wyratowali!

— Nie mnie to, lecz Najświętszej Pannie dziękujcie! No, czas mi już jechać. Ale, prawda, obiecałem Jaśkowi wstawić się do was, byście się na niego nie gniewali, że samowolnie wyszedł z chaty. Nie gniewajcie się więc na niego, i tak już dosyć wycierpiał. Zostańcie z Bogiem!

— Jedźcie z Bogiem, księże proboszczu!

M. GROT.





STRAŻACY

Kazik i Jurek siedzieli sami w mieszkaniu. Rodzice wyszli, pozostawiając pod ich opieką najmłodszą siostrzyczkę Stefunię, która już spała w łóżku, w pokoju obok kuchenki. Wtem Jurek się odezwał:

— Kaziku, głodny jestem! A tu mamy nie ma... Nie ma komu mleka zagrzać na kolację.

— Sami damy sobie radę!

— W jaki sposób? Przecież nie umiemy rozpalić ognia.

— Poco pod kuchnią, możemy rozpalić prymus.

— Czy potrafisz? — z niedowierzaniem zapytał Jurek.— Mama nie pozwala nam samym zapalać prymusa, bo mówi, że to niebezpiecznie.

— Mama nie wie że potrafię! — z przekonaniem odpowiedział Kazik. — Zrobimy jajecznicę i zagrzejemy mleko.

Chłopcy wyciągnęli prymus. Kazik dolał nafty, nalał spirytusu na talerzyk i zapalił.

— Teraz, Jurku, możesz pompować — zwrócił się do brata.

— Boję się, Kaziku, jeszcze wybuchnie!!!

— Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś taki tchórz — oburzył się Kazik i zaczął sam pompować. Lecz co to? Maszynka wcale nie chce się rozpalić!

— Widocznie jeszcze trzeba dolać nafty — zrobił przypuszczenie Kazik.

Jak powiedział, tak zrobił i zaczął znów pompować. Lecz płomień, zamiast palić się normalnie, wybuchł aż pod sufit. Przestraszony Kazik odskoczył od maszynki i przewrócił przy tym stołek, na którym stała maszynka. Paląca się nafta rozlała się po podłodze.

— Dawaj kubeł z wodą — krzyknął Kazik.

— Nie, lepiej polecę do sąsiadki! — krzyknał Jurek i już był za drzwiami. Tymczasem Kazik zalewał płomień wodą, lecz nic nie pomagało, gdyż nafta wypływała na powierzchnię wody i jeszcze szerzej się paliła. Ogniste języki zaczęły już lizać brzeg szafy.

Płomień palącej się nafty trzeba było zadusić, narzucić kołdrę lub koc, lecz o tym chłopiec nie wiedział.

Przestraszony i zrozpaczony wybiegł z mieszkania. Dopiero wówczas przypomniał sobie, że w mieszkaniu została siostrzyczka. Chciał wrócić, lecz nie mógł się dostać do pokoju, bo ogień i dym zagrodziły mu drogę. Z płaczem pobiegł znów na podwórze. Spojrzał — a tam już stał wielki czerwony samochód z jakimiś maszynami. W samochodzie było kilku mężczyzn w błyszczących kaskach. Ci ludzie prędko postawili żelazną drabinę; jeden z nich za chwilę był już przy oknie mieszkania i zniknął w płomieniu. Inni natomiast gasili palące się mieszkanie strumieniami wody z olbrzymich wężów gumowych. Tymczasem do Kazika przyskoczył Jurek i zawołał:

— To strażacy. Pani Bednarska zatelefonowała do straży i...

Dalszych słów Kazik nie dosłyszał, bo skupił całą swoją uwagę na strażakach, którzy spokojnie spełniali swój obowiązek. Wkrótce pożar został stłumiony. W oknie ich mieszkania pokazał się strażak. Twarz miał czarną od dymu. W ręku trzymał ich maleńką siostrzyczkę.

M. L.



Ryży kudłacz wstał z drzemki. Przeciągnął się, ziewnął i wstrząsnął puszystym futrem. Zły był, że się obudził. We śnie głód mu nie dolegał, a nieborak nie jadł już trzy dni. Gospodarze tak pilnują dobytku, że ani rusz coś uszczknąć. Boki wpadły, w pysku zaschło... W dodatku onegdaj złapał się w potrzask i zranił sobie łapę. O włos, a byłby zginął i jego skórka ozdobiłaby kołnierz jakiejś pani! A on chce żyć i nosić własną skórę na własnym grzbiecie.



Tylko — jak tu zdobyć obiad? Zwierzęta leśne śpią po norach, bo to zima. Przy tym są czujne, trudno je podejść, a lisisko się rozleniwiło na łatwych kurnikowych zdobyczach. Wczoraj z głodu na jeża się rzucił, ale zanim się dobrał do miękkiego brzuszka, ten złośliwiec, ten gbur zwinął się w kłębek i pokłuł mu nos. Do dzisiaj piecze i swędzi!

Aj, bieda, bieda... Chłodno i głodno.

Gromadka wróbli usiadła na drzewie. Spojrzał na nie chciwie. Kłapnął łakomie zębami. Stadko się poderwało. Zaklął brzydko:

— Do stu jamników! Po co te ptaki mają skrzydła? Gdyby nie umiały latać, to bym kilkoro tego drobiazgu złapał. Byłaby jaka taka przekąska.

Z powietrza doleciały go jakieś głosy. To wrony!

— Ej, żeby to choć jedną dostać... Właściwie to paskudztwo, ale na głodny żołądek... Poco one mają skrzydła? No, spróbować można, tylko trzeba chytrze zabrać się do rzeczy.

Zmrużył oczy i układał podstępny plan działania. Krakanie rozległo się tuż, blisko... Już wiedział, jak postąpić. Wyszedł na odsłonięty ugór, przewrócił się na bok i leżał jak nieżywy.

Nadlatujące wrony zauważyły go i obsiadły pobliską leszczynę. Jęły mu się przypatrywać bacznie. Darły się przy tym na wyścigi, jak gdyby się kłóciły. Bo też tak i było.

— Nie ugrrryzie! Nie ugrrryzie — wrzeszczały jedne.

— Ugrrryzie! Ugrrryzie — krakały inne, tchórzliwsze.

A lisek leżał wciąż jak nieżywy.

Co śmielsze wrony podlatywały bliżej i siadały na ziemi. Przechylając głowy to w tę, to w ową stronę przyglądały mu się uważnie na przemian lewym i prawym okiem. Wreszcie jedna, najśmielsza, zaszła od tyłu i kolnęła dziobem w puszystą kitę. Lis ani drgnął.

Wówczas wrony całą gromadą zleciały się śmiało na ucztę. Chytry lis na to tylko czekał! Już, już miał człapnąć zębiskami i chwycić najbliższą wronę, gdy nagle z lasu wychyliła się jakaś postać i rozległo sią wesołe śpiewanie:

— Wszyscy boją się chwata,
choć bez kija i bata!

Fr! fr! z ciężkim łopotem odleciały wrony. Lisisko przestało udawać nieżywego i chyłkiem pomknęło w krzaki bez obiadu...

A ten chwat, to był tylko mały Staszek!

A. W.

Co Chochlik opowiedział dzieciom

Wróble zuchwałe są i łakome bardzo... Piosenka je przestrzega:

— Nie pij, wróblu, wody,
nie czyń panu szkody,
bo cię wsadzi do gąsiora,
będziesz siedział do wieczora!

Ale one nic sobie z tej przestrogi nie robią. Więcej niźli woda nęci je ziarno. Zbierają się zatem gromadami i świergocą:

— Ćwi ćwi ćwi ćwi ćwi ćwi ćwi ćwi...
Czy dojrzała pańska pszenica?

Inni towarzysze im odpowiadają:

— Dojrzała do żęcia, dojrzała do żęcia...

Po czym wszyscy dzielą się nią, wołając z hałaśliwym świergotem:

— Mnie ćwierć, tobie ćwierć!
— Mnie ćwierć, tobie ćwierć!

M. DYNOWSKA



Słowa Z. KELUS - LIPKOWSKIEJ. Muzyka A. WIELHORSKIEGO.

Żywo
Oj, te sro-ki, sro - ki wzię - ły się pod bo - ki
mf. stacc..
i tań - czy - ły wko - ło, By - ło im we - so - ło

Oj, te sroki, sroki,
wzięły się pod boki
i tańczyły wkoło,
było im wesoło.
Wesoło im było,
aż się w oczach ćmiło,
aż piórka gubiły,
tak się weseliły.

Aż ogony sobie
podeptały obie,
gdy robiły skoki
ogoniaste sroki.
Tańczyły najdłużej
w przydrożnej kałuży,
tańcowały w błocie,
a wyschły na płocie.

ZABAWA SKOCZNO-TANECZNA DLA DZIECI NAJMŁODSZYCH.

Opis zabawy. Dzieci stojące w kole śpiewają: „Oj te sroki, sroki, wzięły się pod boki" i kiwając głowami przestępują z nogi na nogę, ręce mając oparte na biodrach. Przy słowach: „i tańczyły w koło", koło posuwa się w prawo. Przy słowach: „aż się w oczach ćmiło", koło zatrzymuje się, a dzieci przysłaniają sobie dłońmi oczy. Przy słowach: „aż piórka gubiły", każde dziecko obraca się dookoła swej osi, trzepocąc ramionami. Gdy śpiewają: „aż ogony sobie podeptały obie", dzieci obracają się do siebie i grożą palcem, najpierw prawą, potem lewą ręką. Przy słowach: „gdy robiły skoki", dzieci obunóż wykonują trzy podskoki do środka koła, następnie odwracają się twarzą na zewnątrz i wykonują trzy podskoki na zewnątrz koła, potem znów wracają jak za pierwszym razem. Należy zwracać uwagę, żeby dzieci robiły małe skoki. Przy słowach:

„tańczyły najdłużej w przydrożnej kałuży" dzieci tupią nogami, a następnie, gdy kończą strofkę słowami: „a wyschły na płocie", dzieci rozbiegają się i wskakują, gdzie zechcą: na ławeczki, drabinki i t. p.

Zabawę tę można prowadzić 2 — 3 razy. W. PRZYSIECKA

ZAGADKI.

Jakie to pączki nigdy się nie rozwijają?
Jakim to chrustem nigdy nie palą w piecu?
Kiedy to tańce nie mogą trwać dłużej, niż do północka?

DRODZY PRZYJACIELE!



Chciałem Wam napisać coś bardzo [ładnego,
alem wczoraj tańczył aż do dnia białego.
Tańczył Bill z Kondlikiem i Murzyn [z Cyganem,
same piękne pary, same wybierane!

Dla mnie wśród przyjaciół nie starczyło [pary,
chociaż takim piękny i jeszcze niestary...
— Muzyko, muzyko, nie graj kujawiaka,
tylko zagraj dla mnie śląskiego trojaka!

Urwała kapela, każdy patrzy, słucha...
Aż tu jak nie zagra trojaka od ucha!
Tak przez całą nockę pieski tańcowały,
aż nam pod łapkami słoma wirowała.

Przyszły inne pieski, całe tłumy gości,
naznosili pączków, kiełbasek i kości.
Na całym podwórku tańczyliśmy wkoło,
aż księżyc się do nas uśmiechał wesoło!

Wasz rozbawiony
Figielek Urwisowski

WARUNKI PRENUMERATY „DZWONKÓW"

	poj. egzemplarze	półrocznie	rocznie
w Polsce	20 gr	2.00 zł	3.60 zł
za granicą	30 gr	3.00 zł	5.40 zł
w St. Zj. Ameryki Pn. .	—	—	1,5 dol.

Na tych samych warunkach można zaprenumerować dwutygodnik dla dzieci wyższych klas szkół powszechnych p. t. „Młody Polak". Konto P.K.O. dla „Młodego Polaka" jest inne, a mianowicie: 11.044.

Prenumeratorom, zamawiającym naraz 10 lub więcej egzemplarzy jednego numeru, dodajemy 1 egz. bezpłatnie przy każdych opłaconych 10 egz.

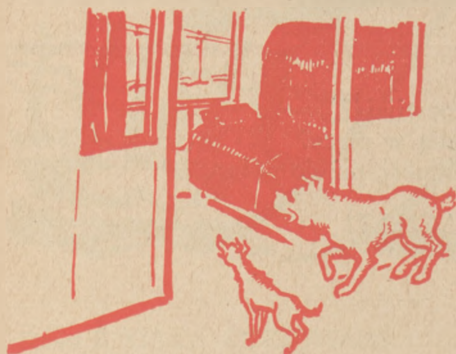
Adres redakcji i administracji: Warszawa, Chmielna 58, Nr. telefonu redakcji i administracji: 6-93-65. Redaktorka przyjmuje w środy od godz. 17 do 19 i w soboty od godz 12 do 14. Rękopisów się nie zwraca. Administracja czynna codziennie od 12 do 13. Konto **P. K. O. 13066.**

Redaktorka: **Maria Niklewiczowa.** Wydawca: za Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — **Antonina Tyszkowska.**

Drukarnia Wzorowa — Warszawa, Długa 20, tel. 11-16-60.

PRZYGODY FIGIELKA

(Ciąg dalszy).



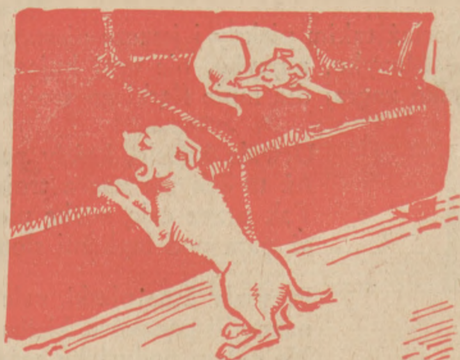
Myk! Z wagonu do wagonu!
Tu kanapy są czerwone,



pod nie pieski się schowały.
Jakieś puste te przedziały.



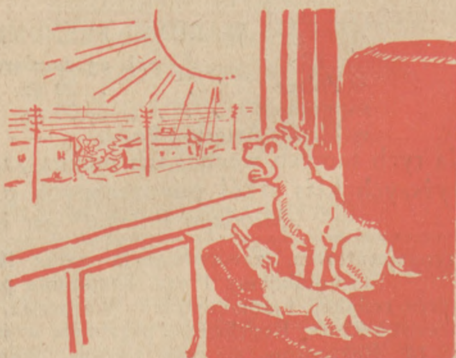
Więc wieczorem na kanapie
Figiel sobie smacznie chrapie,



za nim Cygan też się wspina;
patrzcie, z jaką senną miną!



I tak jadą w pierwszej klasie
śniąc o budzie, o kiełbasie...



Wreszcie patrzą: słonko świeci,
świat za oknem kędyś leci...

(D. c. n.).